

## **Joanna Kalicka: Niepewność czasu dojrzewania**

Maturzyści z roku 1938, przy wszystkich właściwych ich wiekowi słabostkach, wydają się dużo dojrzalsi od bohaterów Borcucha



**Maturzyści z roku 1938, przy wszystkich właściwych ich wiekowi słabostkach, wydają się dużo dojrzalsi od bohaterów Borcucha**

20 stycznia Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej ogłosiła tytuły dziewięciu filmów, które będą dalej walczyć o nominację do Oscara w kategorii najlepszy film obcojęzyczny. Nie było wśród nich polskiego kandydata do tej prestiżowej nagrody – filmu „Wszystko, co kocham” w reżyserii Jacka Borcucha.

Kinomani zdążyli się już chyba przyzwyczać do polskich porażek w wyścigu o złotą statuetkę. Mimo, że oscarowa przygoda filmu definitywnie się zakończyła, warto poświęcić mu nieco więcej uwagi – zwłaszcza, że jak do tej pory zdążył zebrać pozytywne recenzje w kraju oraz kilka zagranicznych nagród. Biorąc pod uwagę tematykę – dojrzewanie grupy młodych chłopaków na Wybrzeżu podczas karnawału „Solidarności” i stanu wojennego – można uznać go za kolejne dziecko nurtu historycznego polskiej kinematografii. Dzieło Borcucha wyróżnia się jednak wśród innych tego typu produkcji. Nie za bardzo nawet nadaje się do zestawiania z filmami, które biorą na warsztat wydarzenia takie jak zbrodnia katyńska, śmierć generała Nila czy bitwa 1920 roku. Osnową scenariusza jest bowiem historia założonego przez grupkę przyjaciół zespołu punkowego, której muzyczne tło stanowią utwory skomponowane przez Daniela Blooma, kolegę Borcucha z zespołu „Physical Love”. Reżyser nie podążył utartą ścieżką wiodącą prosto i bez zbędnych ceregieli do poważnych historycznych tematów (jedynie z konieczności obudowywanych później indywidualnymi losami bohaterów). Idąc za intuicją popartą własnym doświadczeniem, wybrał drogę prowadzącą do wielkiej historii niejako naokoło – przez muzyczne fascynacje i młodzieńcze rozterki licealisty.

Choć jak na polskie warunki jest podejście dość oryginalne, Borcuch ma na tym polu poprzednika – Michała Kwiecińskiego, reżysera „Jutro idziemy do kina”, telewizyjnej produkcji z 2007 roku. Akcja filmu (pokazywanego przez TVP regularnie w rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej) rozpoczyna się w 1938 roku, a kończy – pierwszego września 1939. Zarówno tytuł, jak i pierwsza scena, w której trzech maturzystów – Jurek, Andrzej i Piotr – leżąc na trawie przed budynkiem gimnazjum Batorego, przegląda programy warszawskich kin, nie zapowiadają tej dramatycznej cezury. Jako widzowie jesteśmy mądrzejsi o wiedzę, co się wkrótce wydarzy, ale w miarę rozwoju akcji również i dla bohaterów staje się jasne, że wojna jest nieuchronna. W domu Jerzego (Jakub Wesołowski) ojciec słucha transmisji przemówień Hitlera, a grająca matkę jego narzeczonej Grażyna Szapołowska (jedna z wielu wyśmienitych kreacji drugiego planu) wybucha płaczem w bezsilnym sprzeciwie wobec tragicznej roli, którą, jak przeczuwa, szykuje jej historia.

Również bohaterowie Borcucha dorastają w czasie niepewności i strachu. Podobnie jak w wypadku przedwojennych licealistów, doświadczają go jednak przede wszystkim ich rodzice. Młodych ludzi zarówno w 1938, jak i w 1980 roku pochłania przyjaźń, osobiste pasje, pierwsze zauroczenia i doświadczenia erotyczne oraz dobra zabawa. Ale czy to już wszystko, do czego odnosi się tytuł filmu, a zarazem nazwa zespołu założonego przez bohaterów? Choć punkowe teksty obracają się rzecz jasna wokół wolności i buntu, muzyka tworzona przez Janka (Mateusz Kościukiewicz) i jego kolegów nie ma jednoznacznie politycznego wydźwięku, nie idzie też za nią – bardzo czasem radykalne wśród punków – zerwanie z szeroko rozumianym systemem. W atmosferze narastającej polaryzacji młodzi ludzie nie opowiadają się zdecydowanie po żadnej ze stron, aż do momentu, gdy

koncert na studniówce staje się – niejako przypadkowo – solidarnościową manifestacją. Taki sam, na wpół świadomy i w pewnym sensie osobisty charakter ma najbardziej brutalny przejaw buntu bohatera – zdemolowanie samochodu nieżyczliwego sąsiada, który doniósł na niego i na jego ojca. Opowiadając o okresie, w którym bardzo wiele osób doświadczało po raz pierwszy swojego znaczenia i podmiotowości również w sensie politycznym, Borcuch zdecydował się pokazać ludzi, którzy (być może z racji wieku, może charakteru lub sytuacji osobistej) są raczej unoszeni na fali przemian, niż sami ją wywołują. Mógł dzięki temu powstać obraz psychologicznie głębszy, skupiony na indywidualnym doświadczeniu (tak jak w wyśmienitej scenie śmierci babci Janka), jednak w tym wypadku mamy raczej do czynienia z zatrzymaniem się w pół kroku, które odbiera filmowi siłę wyrazu. Dramatyzm młodzieńczych rozterek gdzieś się gubi, a potencjał zderzenia ich z dziejącą się wokół historią zostaje w dużym stopniu roztrwoniony. Pocięchą są w tej sytuacji piękne zdjęcia, świetna muzyka i przyzwoite kreacje aktorskie, które sprawiają, że film mimo wszystko ogląda się z przyjemnością.

Maturzyści z roku 1938, przy wszystkich właściwych ich wiekowi słabostkach, wydają się dużo dojrzałsi od bohaterów Borcucha. Można przypisać do przedwojennemu wychowaniu, ale równie istotnym kontekstem dla ich planów i wyborów życiowych jest niepodległe państwo, z którym identyfikują się w sposób dużo mniej problematyczny niż ich rodzice. Urodzili się w Drugiej Rzeczypospolitej, nie pamiętają jej początków i nie potrafią sobie wyobrazić jej końca. Wolność jest dla tych młodych ludzi nie upragnionym, niedostępnym dobrem, a czymś oczywistym – jak powietrze, którym oddychają. Nie przeciwstawiają jej państwu, jak punkowcy z lat osiemdziesiątych, a raczej utożsamiają z nim. Socjalizacja w niepodległej Polsce, w której jako młodzi inteligenci

mogą w przyszłości odgrywać znaczącą rolę, daje im pewność siebie i swobodę, a nawet to charakterystyczne poczucie humoru, którego notabene brakuje w filmie Borcucha. Również młodzi aktorzy wcielają się w swoje role z ogromnym wdziękiem - zresztą większość z nich ma obecnie na koncie więcej niż jedną „przedwojenną” kreację (Wesołowski oraz Antoni Pawlicki w „Czasie honoru”, Julia Pietrucha w filmie o powstaniu Gdyni – „Miasto z morza”, Mateusz Damięcki w „Przedwiośniu”).

Oglądając „Wszystko, co kocham”, zastanawiałam się, dlaczego młodzi bohaterowie filmu Borcucha tak słabo wypadają w porównaniu z obrazem zmitologizowanego już w naszej kulturze pokolenia Kolumbów. Odpowiedź kryje się być może właśnie w samym zestawieniu chyba z założenia przeciętnych licealistów z legendarną generacją. Reżyser „Jutro idziemy do kina” kręcąc swój film, korzystał z całego bogactwa odniesień i skojarzeń, które automatycznie pojawiają się u widzów na hasło „międzywojnie”. „Wszystko, co kocham” to film o historii, którą pamięta wielu z żyjących, ale która jednocześnie ciągle jeszcze nie zajęła należnego jej miejsca w pamięci zbiorowej. Jeśli współczesnemu dwudziestolatkowi o „Solidarności” i stanie wojennym nie opowiadano w domu, na próżno będzie szukał powstałych po 1989 roku wyrazistych opowieści filmowych czy literackich, które mogłyby ukształtować jego wizję tych wydarzeń. Symptomatyczne, że film o strajkach w stoczni gdańskiej nakręcił w 2006 niemiecki reżyser, Volker Schlöndorff (by popaść później w ostry konflikt z główną bohaterką scenariusza, Anną Walentynowicz, która uznała, że film ją obraża). Dlatego dobrze, że Borcuch spróbował przekazać swoim – w dużej mierze zapewne młodym – widzom atmosferę lat osiemdziesiątych i stworzył choć kilka obrazów o symbolicznym potencjale.

Michał Kwieciński zatrzymuje swoich bohaterów w stopklatce tuż przed wybuchem wojny, przez pryzmat której na nich patrzymy (i które poświęcony jest jego późniejszy serial „Czas honoru”). Nadlatujące niemieckie bombowce zwiastują koniec beztrioskiej młodości Jurka, Andrzeja i Piotra, przydając całej historii waloru sentymentalno-mitycznego. Natomiast na dorastanie Janka i jego kolegów w PRL-u lat osiemdziesiątych spoglądamy nieuchronnie z pozycji obywateli lepszego, wolnego świata. To spojrzenie z dystansu w żadnym wypadku nie odbiera jednak tym okresom znaczenia i wpływu na teraźniejszość. Są one w pewnym sensie kluczowe dla zrozumienia zarówno zbiorowego, polskiego losu w dwudziestym wieku, jak i dnia dzisiejszego, który wciąż potrzebuje zarówno inteligenckiego etosu i umiłowania Rzeczypospolitej, jak i bezkompromisowej energii punkowych utworów. W tym sensie bohaterowie obu filmów okazują się faktycznie – w zgodzie z własnymi słowami – niezniszczalni.



Joanna Kalicka